

Gejsze niedzisiejsze

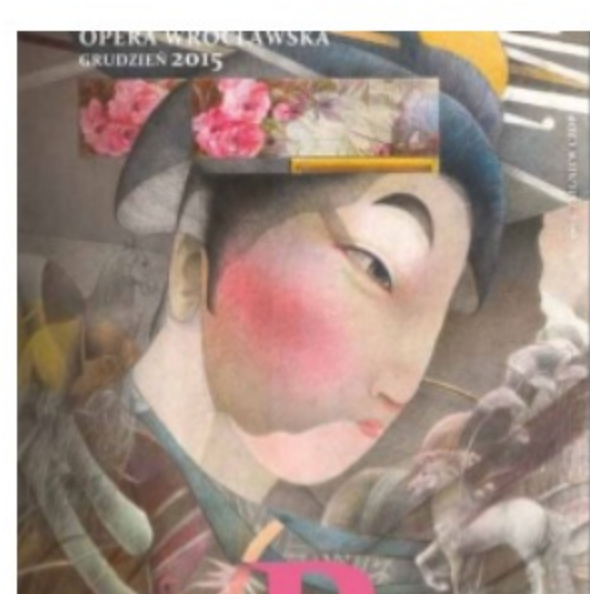
Madame Butterfly, rez. Giancarlo del Monaco, Opera Wroclawska



LESZEK PULKA

Profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, filolog, medjoznawca, wykładowca w Instytucie

A A



Wrocławska premiera porwała publiczność muzyką Pucciniego i kreacją Anny Lichorowicz w roli Cio-Cio-San, gdyż libretto *Madame Butterfly* nie wytrzymuje próby czasu. Po *Salii samobójców*, *Sponsoringu* czy *Bejbi blues* historia zbalamuconej przez porucznika US Navy japońskiej nastolatki raczej już nikogo nie podnieci, nawet jeśli uznamy, że to protest przeciw seksturyście – reportaże w mediach są mocniejsze.

Dostrzegam we wrocławskiej inscenizacji *Madame Butterfly* kosmiczną omyłkę interpretacyjną. Zapewne Giancarlo del Monaco czuł językowy i obyczajowy

anachronizm dzieła Pucciniego, lecz odważny pomysł reżysera, by postać i losy pięknej gejszy teleportować do Nagasaki po atomowej zagładzie, ma na tle wyśpiewanego melodramatu średni sens. Libreciści Giacosa i Illica jednak nie pisali scenariusza filmu *Hiroszima, moja miłość*, lecz sentymtalną, nie zaś traumatyczną baśń, czerpali z tradycji Japonii przełomu XIX i XX wieku, nie z horroru II wojny światowej.

Zresztą nic w ariach i duetach dwojga imion Butterfly/Cio-Cio-San apokalipsy nie zapowiada. Znacznie bliżej stąd do klimatów powieści tajemnic Sue niż naturalizmu Zoli, więc o koszmarach w stylu bohaterów Resnaisa trzeba zapomnieć. Dlatego świat przedstawiony tej cywilizacyjnej antybaśni – choć James Valenti jako Pinkerton wystąpił na początku spektaklu z gołą pupą – mnie nie urzekł. Kulturowego miszmaszu jest tu po prostu za dużo i jest to mikstura w stylu pop. Oglądamy operowy komiks, stworzony przez dowolnie spuzzlowane cytaty-powidoki – trochę tu klimatów z *M.A.S.H.*, taniego kina noir, designu epoki z czasów *Tramwaju zwanego pożądaniem* czy musicalowych zabaw w stylu *Na przepustce*.

Awangardowa scenografia Williama Orlandiego owszem, stoi na scenie, lecz nie wywołuje ani interesujących interpretacji aktorskich, ani nieznanych dotychczas emocji. Oto spotykamy pięknoducha i seksoholika Pinkertona oraz jego latwowierną gejszę pod betonowymi estakadami Nagasaki. Powiedzmy, iż hipsteryzujący porucznik zamieszkał w kopii wrocławskiego placu Społecznego, w spiętrzonych kontenerach na tle zamkniętych na glucho sklepików i barów. Powstało coś na kształt sklepów cynamonowych w pejzażu postkomunistycznego Sin City. Betony, szarości, stal. Nawet bohaterowie drugiego planu snują się po scenie okutani w szare kostiumy.

Zdumiewające i nieprawdopodobne. Estakady nie wiodą żadnych aut, kontenerowe faweły zdają się wrzucone w jakąś kosmiczną dziurę. Na słowo wierzymy, że to port. Ludzi tu jak na lekarstwo. Raczej pustelnia niż otchłań. Gdzieś w tle opowieści o nabrzeżu, przepływających okrętach, miłosnej tęsknocie. Amerykańska flaga smętnie zwisająca z masztu. Parada wojskowego jeepa na baterie. Gangsterzy i jeden filantrop – konsul Sharpless (trochę uszywniony Valdis Jansons), który jakąś litość Butterfly okazuje, choć i on nie jest bez winy, wszak udzielił ślubu cynikowi Pinkertonowi według prawa japońskiego, umożliwiając porzucenie młodziutkiej żony, gdy zużył go seks, który uprawia chętnie, a co tłumaczy inicjalną scenę kąpieli.

Wykorzystana seksualnie Butterfly przez trzy lata głównie śpiewa, wychowuje syna, czeka na okręt lubieżnego porucznika oraz pierze w balii. Czasami spogląda w niebo, widząc gwiazdy mimo warstw grubego betonu. Przekomarza się także ze swą służącą Suzuki oraz prowadzi rachunki domowe. Z pewnością nie jest to kino akcji i część publiczności dyskretnie poziewtuje, zwłaszcza gdy orkiestra kołysze do snu gejszę snującą się bez słów wokół kontenera przez bity kwadrans. Aż się prosi, by wpuścić w tym momencie na scenę duchy, dziwożony, rusalki, syreny, koty czy co tam jeszcze fruwa, skacze lub pływa w japońskiej mitologii. Byłyby chagallowskie marzenia senne, nie zaś niemy pomnik niewinności uciśnionej.

Final zaskakuje. Pinkerton tchórzy i zwiewa przed powtórny spotkaniem. Z kolei zmanierowany książę Yamadori (Lukasz Rosiak) – przywódca gangu – starając się daremnie, acz uparcie o względy Cio-Cio-San, z pogardą żegna konającą gejszę, gdy ta, porzucona i zmuszona do oddania syna amerykańskiej partnerce Pinkertona, popełnia efektowne samobójstwo za pomocą sztyletu. Yamadori – powiedzmy tak – gra jej na nosie, a jego mafiosi porywają synka ze stosu opon za pomocą worka. Mniej więcej tyle tu werstycznego dramatu, ile w ekranizacjach prozy Rosamunde Pilcher.

Mimo to bronilibym postawy Butterfly – duma, ufność, honor, bezinteresowność kształtują piękno jej miłości. Jakie to dziś rzadkie. Może i dobrze, bo zamiast docinać papierowym postaciom chce się słuchać z zamkniętymi oczami śpiewu i muzyki, by nie ślepić za elektronicznym bannerem z tłumaczeniem arii. Orkiestra pod batutą Ewy Michnik zagrała soczyście, wielobarwnie, trzymając sugestywny rytm naprzemiennie jazzującej, lirycznej lub bawiącej się motywami orientu muzyki Pucciniego. Operowej, lecz zaskakująco nowoczesnej w brzmieniach.

Ta *Madame Butterfly* to jednak przede wszystkim wokalny popis Anny Lichorowicz. Anachroniczne libretto jest naiwne, ale to jej Cio-Cio-San, napędzając wątlą intrygę, przykuwa przez ponad dwie godziny uwagę absolutnie wszystkich widzów. Każda aria, każda scena z Jamesem Valentim wyzwały euforię. Oklaski nie milkły. Miłosny duet z Pinkertonem Valentiego zaczarował salę – mocne głosy, czysta intonacja, swoboda, doskonale współbrzmienie i wyrazistość godne każdej sceny. Oba talenty – Lichorowicz i Valenti – to mocne atuty wrocławskiego spektaklu.

Podobać się musi także mezzosopranowa Suzuki Barbary Bagińskiej. Mocno poniewierana przez sutenera Goro (zbyt upozowany Aleksander Zuchowicz) nie miała zbyt wielu okazji, by rozkwitać w zmysłowej kobiecości. Świat mężczyzn, który ją otaczał, to kolekcja dewiantów i bufonów, cały liryzm skupiła więc na relacji z Cio-Cio-San i jej synem. Czyniła to naprawdę udanie, starannie budując tło emocjonalne. Wokale Bagińskiej dopełniły piękno wielu scen.

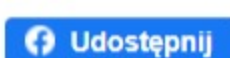
Moją faworytką jest jednak najmłodsza z artystek – kilkuletnia Joasia Bunzler w roli Dziecka. Próbowałem zrozumieć, jak wytrzymuje potężne brzmienie orkiestry w tym ponurym świecie, dlaczego nie lęka się matczynego forte Butterfly wyśpiewanego *tête-à-tête*. Podziwiałem swobodę sceniczną podczas zabaw z modelem okręciku na kółkach, wycucie dystansu wobec postaci i dekoracji, wreszcie anielską cierpliwość w scenie porwania. I z jaką elegancją młodziutka aktoreczka przebudziła się ze snu za półprzeźroczystą ścianą kontenera.

Żałuję, że Joasia nie zaśpiewała choć jednej piosenki. Skradłaby show dorosłym. Szary i smutny show. Jak w życiu każdej gejszy.

30-12-2015

Opera Wroclawska
Giacomo Puccini
Madame Butterfly
libretto: Giuseppe Giacosa i Luigi Illica
reżyseria: Giancarlo del Monaco
kierownictwo muzyczne: Ewa Michnik
światła: Wolfgang von Zoubek
scenografia i kostiumy: William Orlandi
premiera: 19.12.2015

TAGI: Giacomo Puccini, Madame Butterfly, Giancarlo del Monaco, Wrocław, Opera Wroclawska,



SKOMENTUJ

Autor lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

trzy plus dziesięć jako liczbę: 

KOMENTARZE (0)

POWIĄZANE TEATRY



Opera Wroclawska

PRZECZYTAJ TEŻ

Lukasz Drewniak
K/337: Serce miastaHenryk Mazurkiewicz
Śledzik w śmietanieHenryk Mazurkiewicz
Polski AwinionLukasz Drewniak
K/109: Sprawy beznadziejneHenryk Mazurkiewicz
Po orgiiMagda Piekarska
Modrzejewska pod napięciem

KALENDARIUM

Międzynarodowy Festiwal
Sztuki Opowiadania XVIII
edycja - Przekazać dalej

Forum Młodej Reżyserii XIII Edycja

Tyskie Spotkania Teatralne
XLIX edycja

BĄDŹ NA BIEŻĄCO

